

*Nie jesteś kroplą w oceanie.  
Jesteś oceanem w jednej kropli.*

1973 9 11 11

1973 9 11 11  
509 M 61

1973 9 11 11  
MILITARY

1973 9 11 11  
MILITARY

1973 9 11 11  
MILITARY



Gudai





# Rozdział 1

## Tysiąc różnych śmierci



Często myślę o śmierci. Nie w sposób obsesyjny, raczej jak ktoś, kto co jakiś czas spogląda w okno i widzi ten sam krajobraz – znajomy, choć niepokojący. Nie wiem, czy inni też tak mają. Może śmierć zajmuje im mniej miejsca w głowie, może więcej, ale jeśli każdy człowiek świętuje swoje narodziny, wydaje się naturalne, by poświęcić trochę uwagi ich przeciwieństwu.

W swoim życiu zetknąłem się ze śmiercią na wiele sposobów. Czasem docierała do mnie jako cichy szept w rozmowie, czasem stałem naprzeciw niej, patrząc jej prosto w oczy. Bywało, że ukrywała się w drukowanych słowach gazety, między nagłówkiem a datą, jakby jej obecność była czymś zupełnie zwyczajnym.

Pierwsza śmierć, jakiej doświadczyłem, była śmiercią moich rodziców. Zginęli pewnego ciepłego popołudnia, kiedy wracaliśmy w trójkę z zakupów. Byłem wtedy zbyt mały, by zrozumieć, że świat, który znałem, właśnie się rozpadł. Nie pamiętam łez ani żalu – tylko pustkę, której jeszcze nie potrafiłem nazwać.

Następnego dnia dziadek po prostu wszedł do mojego pokoju, usiadł na brzegu łóżka i powiedział: „Od teraz zostaliśmy tylko we dwóch”. Kiwnąłem głową, nie do końca rozumiejąc, co to właściwie znaczy.

Drugą śmierć przeżyłem, kiedy byłem już w szkole. Chłopiec z mojej klasy siedział poboczem drogi, zapatrzony w telefon. Może oglądał coś zabawnego, może pisał wiadomość – nigdy się tego nie dowiem. Auto uderzyło w niego z pełnym impetem i tak po prostu przestał istnieć.

Przez ponad miesiąc cała szkoła nosiła czarne ubrania. Korytarze były ciche, nauczyciele mówili do nas spokojniejszymi głosami. Potem jednak wszystko wróciło do względnej normy. Ubrania znów nabrały kolorów, wróciły śmiechy na przerwach, a historia chłopca stała się przestrogą – krótką opowieścią o tym, dlaczego nie należy patrzeć w telefon na ulicy. Jakby to był jedyny powód, dla którego go zabrakło.

Trzecia śmierć przyszła, gdy byłem już starszy. Wracałem pociągami do domu, było późno. Świat za oknem przesuwiał się powoli w smugach sztucznego światła. Nagle pociąg zatrzymał się z piskiem, wstrząsając wagonem. Po kilku minutach ktoś powiedział, że na torach była kobieta.

Przez chwilę myślałem, że to musiał być wypadek – niefortunna chwila nieuwagi. Ale potem gazety napisały, że to było samobójstwo. I nagle jej śmierć stała się czymś, co można opisać jednym słowem, zamknąć w policyjnym raporcie i zapisać w statystykach.

Czwarta śmierć, której byłem świadkiem, przyszła powoli, bez pośpiechu. Rozciągnęła się na miesiące, jak cichy cień, który każdego dnia rósł, żeby w końcu pochłonąć całość. Nauczycielka ze szkoły dowiedziała się, że ma raka. Pamiętam jej twarz: na początku promienną, pełną życia, potem z dnia na dzień coraz bledszą, coraz bardziej zmęczoną. Wciąż próbowała prowadzić zajęcia, jakby chciała udawać, że nic się nie dzieje, ale wszyscy widzieliśmy, jak brakowało jej sił.

W dniu jej śmierci szkołę ponownie spowila czerń, choć tym razem śmiech rozległ się na szkolnym korytarzu o wiele szybciej. Jakby smutek miał swój wyznaczony termin ważności.

Bardzo mnie to zastanowiło – dlaczego żałoba trwała krócej? Czy śmierć dziecka była czymś większym, bardziej godnym dłuższego milczenia niż śmierć dorosłej kobiety? A jeśli tak, to dlaczego? Może chodziło o to, że wszyscy spodziewali się jej odejścia, że żegnaliśmy ją w myślach, jeszcze zanim naprawdę odeszła? Może śmierć, która nadchodzi powoli, przestaje zaskakiwać, a przez to wydaje się mniej tragiczna?

Do dziś tego nie rozumiem. Zawsze myślałem, że śmierć jest jedyną rzeczą, która nas wszystkich czyni równymi. A jednak okazuje się, że nawet umieranie podlega pewnej hierarchii – że są śmierci, które zostają w pamięci na dłużej, i takie, które cichną szybciej, jakby nigdy nie miały większego znaczenia.

Każda z tych śmierci zostawiła we mnie coś, czego nie potrafiłem zignorować. Niepostrzeżenie zacząłem myśleć o własnej. Martwiło mnie, że – tak jak wszyscy, których znałem – nie będę miał nad nią żadnej władzy. Że nadejdzie w swoim czasie, bez względu na moje plany.

Martwiło mnie też coś innego – możliwość, że moja śmierć okaże się mniej ważna niż śmierć mojego sąsiada. Oczywiście nie będzie mi dane się o tym przekonać. Ale mam dziwne przeczucie, że nawet jako nieboszczykowi byłoby mi po prostu smutno.

Nie ma dnia, żebym nie myślał o tym jednym momencie, kiedy wszystko się skończy. Idę obok pędzącego pociągu i patrzę na tory – wystarczyłby jeden krok, jedno zawahanie... i zostałbym miazgą. Jadę rowerem przez most i wiem, że granica między jazdą a upadkiem jest cieńsza, niż się wydaje. Nawet kiedy smaruję kanapkę przy użyciu noża, przez ułamek sekundy przychodzi mi do głowy, że to samo narzędzie,

które pomaga mi rozprowadzić masło, mogłoby w jednej chwili wszystko zakończyć.

Śmierć naturalna, w przeciwieństwie do wymienionych wyżej, przychodzi cicho, mózg stopniowo traci tlen, aż wszystko się kończy. Czasem wstrzymuję oddech i wyobrażam sobie, jak by to było – czy czułbym ten moment, czy po prostu bym się rozplynął?

Innym razem zastanawiam się nad śmiercią we śnie. Jak wyglądałby mój ostatni sen? Czy byłoby to podążanie ku światłu, jasnemu i ciepłemu, jak w opowieściach? A może – jak to ze snami bywa – wszystko byłoby chaosem, przypadkowymi obrazami, absurdem pozbawionym sensu?

Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że śmierć we śnie wbrew powszechnej opinii wcale nie musi być najlepszym sposobem odejścia. Może wydaje się łagodna, pozbawiona bólu, ale czy to naprawdę czyni ją lepszą? W końcu nie istnieje coś takiego jak „najlepsza” śmierć. Niektóre są mniej brutalne od innych, mniej nagłe, mniej pełne cierpienia – ale sama idea wyboru najlepszej wydaje mi się nieadekwatna.

Czasem zastanawiam się, dlaczego tak wiele swojego życia poświęcam myśleniu o śmierci. Mówi się, że za życia nie powinno się o niej myśleć, ale wydaje mi się, że to stwierdzenie nie wytrzymuje próby rzeczywistości. Jak można ignorować coś, co dotyczy nas wszystkich? Przecież chodzimy na pogrzeby, oplakujemy bliskich, odczuwamy stratę – jak można nie myśleć o tym, jak będzie wyglądał nasz własny pogrzeb? Kto się wtedy pojawi, kto zapłacze, a kto przyjdzie tylko z grzeczności?

Gdy jednak nie myślę o śmierci, moje myśli dryfują w stronę spraw bardziej przyziemnych – takich, o których rozmyśla każdy nastolatek w moim wieku. Szkoła, oceny, to, czy powinienem szukać pracy, a może spędzić czas na wkuwaniu do egzaminów na studia. Życie toczy się w dwóch wymiarach:

tym, w którym myślę o końcu, i tym, w którym wciąż muszę odrabiać pracę domową.

Niekiedy myślę też o dziewczynach – o tym, że są jak przeciwieństwo śmierci. Wszystko w nich wydaje się pełne życia, intensywne, jakby istniały w zupełnie innej rzeczywistości niż moje myśli o końcu. Ich makijaże, jaskrawe i precyzyjne, błyszczące jak letnie światło, ich ubrania, pełne barw i ruchu – to wszystko sprawia, że wydają się tak dalekie od tego, co ciemne i ciche. Może dlatego tak łatwo przyciągają wzrok.

Choć dziewczyny nie są mi obojętne, to jak na ironię przegrywają ze śmiercią. Poza tym znacznie więcej uwagi poświęcam swojej przyszłości. Zastanawiam się, kim będę, co będę robił, jak potoczy się moje życie – oczywiście zakładając, że w ogóle dożyję momentu, w którym te pytania będą miały znaczenie.

Myślenie o przyszłości samo w sobie bywa przytłaczające, ale dodatkowo pogarsza je presja, którą nakładają na mnie nauczyciele. Wydaje się, że ich nie obchodzi, ile śpię ani ile stresu kosztuje mnie codzienność – liczy się tylko to, żebym miał dobre oceny. Bo jeśli nie będę ich miał, nie skończę dobrze szkoły. A jeśli nie skończę dobrze szkoły, nie dostanę się na studia. A jeśli nie dostanę się na studia... Cóż, w ich narracji to mój koniec. Bez przyszłości, bez perspektyw, pozostaje tylko życie na ulicy i walka o kawałek chleba.

Gdyby nie mój dziadek, prawdopodobnie uwierzyłbym w tę ponurą narrację i do egzaminów nie zmrużyłbym oka, przytłoczony strachem przed przyszłością. Na szczęście miałem przy sobie jednego z najmądrzejszych ludzi, jakich dane mi było poznać. Był absolutnie przekonany, że niezależnie od wyników egzaminów jakoś sobie poradzę. Że życie nie kończy się na cyferkach w dzienniku, a już na pewno nie prowadzi prosto na ulicę. Wierzył w to tak mocno, że nawet

ja, choć z trudem, zacząłem dopuszczać myśl, że może miał rację.

– Yudai, nawet jeśli zawalisz egzaminy i nie dostaniesz się na studia, wciąż będziesz mógł znaleźć uczciwą pracę i zarobić na życie.

– Nie sądzę, dziadku. Kto chciałby zatrudnić takiego nieudacznika jak ja?

– Po pierwsze, Yudaiu, nie jesteś nieudacznikiem. Po drugie, istnieje wiele zawodów, do których nie potrzeba żadnych studiów. Spójrz na mnie. Nie skończyłem nawet liceum, a przez długi czas byłem szewcem i zarabiałem tyle, by utrzymać i ciebie, i siebie. Pracy na świecie nie brakuje.

– Dziękuję za próbę poprawienia mi humoru, dziadku, ale to były inne czasy. Mogłeś być szewcem, bo ludzie dbali o buty, naprawiali je, zamiast wyrzucać. Teraz sklepy są pełne plastikowego obuwia z sieciówek. Nie miałbyś szans utrzymać się z takiej pracy.

– Masz rację, realia się zmieniły. Ale nadal uważam, że znajdziesz dla siebie odpowiednią drogę, potrzebujesz tylko czasu.

– Przepraszam, dziadku, ale czy nie powinieneś mnie motywować do nauki, zamiast powtarzać, że jakkolwiek się potoczy, poradzę sobie?

– A nie masz już wystarczająco wielu osób, które motywują cię do nauki?

– Owszem.

– Więc czemu przeszkadza ci moje zdanie?

– Sam nie wiem... Chyba się wczoraj nie wyspałem i gadam głupoty. Wybacz, dziadku.

– W porządku, nie musisz mnie przeproszać. A poza tym pamiętaj, że nigdy nie zostaniesz bezdomny. Wiesz przecież, że gdy mnie zabraknie, ten dom będzie należał do ciebie.

Temat jego własnej śmierci, który dziadek poruszał tak często, doprowadzał mnie do irytacji. Mimo że sam nieraz

zastanawiałem się nad końcem życia, nigdy nie myślałem o tym w kontekście jego osoby. W mojej głowie dziadek istniał poza tymi prostymi zasadami życia i śmierci. Był dla mnie kimś więcej – opiekunem, gawędziarzem, nauczycielem, kucharzem, ogrodnikiem. Człowiekiem, który potrafił wypełnić każdą przestrzeń ciepłem i obecnością. Myśl, że mogłoby go zabraknąć, wydawała mi się absurdalna.

Dziadek natomiast mówił o śmierci z dziwną lekkością, jakby opowiadał o zmianie pór roku. Często wspominał, co się stanie po jego śmierci, jakby chciał mnie na to przygotować. Zwykle tylko przewracałem oczami, próbując zignorować jego słowa, ale gdzieś w głębi siebie wiedziałem, że mówił prawdę. Nie po to, by mnie zdenerwować, ale dlatego, że tak po prostu było. Jego czas nie był nieskończony. Nasz wspólny czas również. I nie istniało nic, co mogłoby to zmienić.

– Oglądamy dziś razem film? – zapytałem, próbując zmienić temat.

Dziadek uniósł brew.

– Nie musisz uczyć się do egzaminów?

– Przecież poradzę sobie niezależnie od tego – powiedziałem, świadomie rzucając mu jego własne słowa.

Zamiast skarcenia usłyszałem cichy śmiech.

– Nie wykorzystuj moich słów przeciwko mnie. – Pokręcił głową. – Bo jeszcze zmienię zdanie i zapiszę nasz dom Urwisowi.

Urwis był kotem, który od czasu do czasu odwiedzał nasz dom. Na początku myślałem, że jest zwykłym przybłądą, więc razem z dziadkiem zabraliśmy go do weterynarza – wykastrowaliśmy go, odrobaczyliśmy, jak na odpowiedzialnych właścicieli kota przystało. Potem zabraliśmy go do domu, przekonani, że właśnie zaczynamy nowy rozdział wspólnego życia.

Tyle że Urwis miał inne plany. Przestał jeść, godzinami siedział pod drzwiami i zawodząco miauczał, jakby nasze cztery ściany były dla niego więzieniem. Gdy tylko rano wychodziłem do szkoły, wykorzystując moment nieuwagi, uciekał na podwórko i uparcie odmawiał powrotu. Nazwałem go wtedy Urwisem – nie tylko dlatego, że zachowywał się jak mały buntownik, ale też dlatego, że nigdy nie poddał się naszej wizji wygodnego, domowego życia. Jakby wołał wolność, choćby miała oznaczać zimne noce i brak pewnego schronienia.

– Nie bądź taki, dziadku. Co powiesz na *Paprikę*? Ten film jest na naszej liście od dobrych kilku miesięcy.

Dziadek zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, choć wiedziałem, że decyzję podjął już dawno.

– Tylko jeśli obiecasz, że jutro powtórzysz materiał i będziesz zachowywał się jak pilny uczeń – stwierdził tonem, w którym pobrzmiwało lekkie rozbawienie.

– Obiecuję – powiedziałem z przekonaniem, choć zarówno ja, jak i on doskonale wiedzieliśmy, że to tylko część naszej gry.

– W takim razie pójde przygotować projektor – oznajmił, wstając z fotela. Odłożył filiżankę po herbacie do zlewu, jakby to był jakiś mały rytuał. – Widzimy się za dziesięć minut w salonie.

– Przygotuję popcorn – rzuciłem i ruszyłem w stronę półki, gdzie trzymaliśmy przysmaki na takie okazje.

Sięgnąłem po paczkę i otworzyłem ją jednym szybkim ruchem. Wrzuciłem ziarna do miski, wsunąłem ją do mikrofalówki i po chwili kuchnia wypełniła się cichym trzaskaniem. Przez moment pozwoliłem sobie po prostu stać i czekać, wsłuchując się w ten znajomy dźwięk.

Nasze wieczory filmowe były czymś więcej niż tylko oglądaniem filmów. Były momentami, w których mogłem odetchnąć, chwilami, w których przyszłość wydawała się mniej przytłaczająca. Nie było egzaminów, presji, myśli o śmierci.

Byliśmy tylko my – ja, dziadek i historia, która miała zaraz rozegrać się na ekranie.

Mikrofalówka zapikalała, oznajmiając, że popcorn jest gotowy. Chwyciłem miskę i poszedłem do salonu, gdzie dziadek już ustawiał projektor.

– Gotowy? – zapytał, spoglądając na mnie znad okularów.

– Jak zawsze – odpowiedziałem i usiadłem obok niego na kanapie, gotów na dwie godziny oderwania się od rzeczywistości.



## Rozdział 2

### Ślady stóp na Księżycu



Następnego dnia przyszedłem do szkoły półprzytomny. Oglądanie *Papriki* z dziadkiem skończyło się długą nocną dyskusją – tym rodzajem rozmowy, który na chwilę zmienia sposób, w jaki postrzegasz świat.

– Ciekawy film – powiedział dziadek, kiedy ekran zgasł. Pokój wypełniało tylko jednostajne mruczenie projektora.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– Tylko tyle? – Uniosłem brwi. Dziadek zwykle rozwodził się nad filmami w długich, pełnych pasji monologach. – To chyba najlepsza rzecz, jaką nakręcono o granicy między snem a rzeczywistością. Przebija nawet *Incepcję*.

Nie odpowiedział od razu. Podrapał się w brodę i wpatrywał w wygasły ekran, jakby nadal widział tam obrazy, których ja nie dostrzegalem.

– Masz rację – przyznał po chwili namysłu. – *Incepcja* nie dorównuje *Paprice*.

– No właśnie! – powiedziałem z ożywieniem, czując, że wreszcie znaleźliśmy wspólny język.

Dziadek skinął głową, lecz jego oczy zdradzały, że myśli nadal krążyć wokół tematu. W końcu westchnął i powiedział:

– A jednak... jeśli spojrzeć na to inaczej... może *Incepcja* była bardziej przejrzysta?

Zmarszczyłem brwi.

– Przejrzysta? *Incepcja* uprościła cały koncept, dopasowała go do hollywoodzkich schematów.

Dziadek lekko uniósł brew.

– Możliwe... ale przynajmniej nikt nie musiał głowić się nad tym, co właściwie wydarzyło się w ostatnich dziesięciu minutach.

– *Paprika* też nie była zagmatwana.

– Czyżby? To wytłumacz mi dokładnie, co wydarzyło się w scenie z ogromnym dzieckiem pochłaniającym miasto.

Otworzyłem usta, ale się zawahałem. Dziadek uśmiechnął się triumfalnie.

– No właśnie.

– To metafora niekontrolowanego przenikania podświadomości do rzeczywistości – rzuciłem szybko.

Dziadek pokiwał głową z udawanym namysłem.

– Oczywiście, że to metafora. Co gdybyś jednak miał wytłumaczyć to komuś, kto nigdy nie słyszał o metaforach?

– Dziadku, *Paprika* to film, który trzeba czuć. Nie analizować w każdym szczególe – odparłem na swoją obronę.

– Czy to oznacza, że przyznajesz, że wcale nie rozumiesz tej sceny?

– Nie! To znaczy... rozumiem ją w sensie emocjonalnym, nie dosłownym.

Dziadek zaśmiał się pod nosem.

– Wiesz, co to wszystko oznacza?

– Co?

– Że się starzeję – powiedział, rozsiadając się wygodniej w fotelu. – Doszedłem do wieku, w którym wolę logiczne

historie od tych, które trzeba czuć. To znaczy, że wkrótce zacznę narzekać na współczesne kino i twierdzić, że kiedyś wszystko było lepsze.

– Już od lat tak mówisz. – Szturchnąłem go zawadiacko w ramię, po czym sięgnąłem po resztki popcornu.

Dziadek udał obruszonego, ale widziałem, że kąciki jego ust uniosły się w górę.

– Może jutro obejrzymy coś bardziej wymagającego?

Spojrzałem na niego podejrzliwie.

– Na przykład?

– *2001: Odyseję kosmiczną.*

Jęknąłem, na co dziadek parsknął śmiechem. Doskonale wiedział, że nie darzę sympatią tego filmu.

– No co? Skoro lubisz metafory, to nie znajdziesz filmu, który miałby ich więcej.

– Nie znajdę też filmu, który ma więcej powolnych scen z unoszącymi się statkami kosmicznymi – rzuciłem.

– Czyli boisz się, że zaśniesz?

– Nie boję się, tylko wiem, że zasnę.

Dziadek zaśmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

– Dobrze, dobrze. Będę czekał na dzień, gdy dojrzejesz i zrozumiesz, jak dobry jest ten film – powiedział, przez co poczułem się nieco obrażony. – Teraz pora spać, bo inaczej nawet twoja cudowna podświadomość nie pomoże ci na jutrzejszych lekcjach.

– Czyli jednak wierzysz, że podświadomość ma moc?

– Nie przekraczaj moich słów, młody człowieku – odparł dziadek.

– Przekręcam je tylko w taki sposób, żeby miały sens w znaczeniu emocjonalnym.

Dziadek pokręcił głową z rozbawieniem.

– Idź spać, filozofie.

I poszedłem, choć w głowie wciąż przewijały mi się sceny z filmu i słowa dziadka.

Następnego dnia było mi wyjątkowo trudno wstać do szkoły na zajęcia. Powieki miałem ciężkie jak kamienie. Głowa pulsowała lekkim bólem, jakby chciała mi przypomnieć, że kilka godzin snu to zdecydowanie za mało. Przez chwilę kusiło mnie, by po prostu przekręcić się na drugi bok i zapomnieć o całej sprawie, ale wiedziałem, że to nie wchodzi w grę.

Musiałem się podnieść. Nie dlatego, że nagle poczułem zapal do nauki, ale dlatego, że rok szkolny zbliżał się do końca, a moja frekwencja... Wystarczy stwierdzenie, że nie byłem najbardziej obecnym uczniem w tej szkole. I choć nauczyciele mogli jeszcze przymknąć oko na moje oceny, to na frekwencję już nie bardzo. Wiedziałem, że jeśli nie pojawię się w klasie, dziadek dowie się o tym szybciej, niż się obejrzę. Nie chciałem zmuszać go do tego, czego bardzo nie lubił robić, czyli dawania mi wykładu o odpowiedzialności i o tym, że „człowiek powinien potrafić dokończyć to, co zaczął”.

Westchnąłem ciężko, przecierając twarz dłońmi.

– Może powinienem zostać astronautą – mruknąłem, przewracając się na plecy i wpatrując w sufit. – W kosmosie nikt nie przejmuje się frekwencją.

Brzmiało to jak bzdura, ale im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wydawało mi się to logiczne. Haru pewnie byłby zachwycony tą teorią.

„Kiedy jesteś w przestrzeni kosmicznej, twoja frekwencja na Ziemi wynosi równe zero” – powiedziałby z tym swoim niezachwianym entuzjazmem.

Haru, dla kontekstu, był moim przyjacielem. Choć może raczej kimś, kto przypadkiem usiadł obok mnie na pierwszej lekcji matematyki i z jakiegoś powodu nigdy się nie przesiadł.

Przekręciłem się na bok i spojrzałem na zegar.

– Świetnie. Zostało mi jakieś siedem minut na zebranie się.

Z wielkim trudem zwlokłem się z łóżka, przeklinając w duchu swoją wczorajszą decyzję o siedzeniu do późna. Może i *Paprika* to świetny film, ale czy warta była tego porannego cierpienia?

Ostatecznie zmusiłem się do ubrania i wyjścia z pokoju. Zapach świeżo zaparzonej herbaty docierał z kuchni, ale nie miałem czasu na luksus śniadania. Zarzuciłem plecak na ramię i wyszedłem z domu, licząc, że zdążę na pierwszy dzwonek.

Szkolny korytarz przywitał mnie szumem rozmów i stukotem butów o kafelki. Przecisnąłem się przez tłum uczniów i wpadłem do sali matematycznej niemal w ostatniej chwili, osuwając się na swoje miejsce.

– Wiedziałeś, że ślady stóp na Księżycu wciąż tam są, mimo że nikt nie stanął na jego powierzchni od 1972 roku? – zapytał mnie Haru zamiast zwyczajnego „cześć”.

– Nie – przyznałem bez cienia wahania. Astronomiczne ciekawostki nigdy mnie szczególnie nie interesowały.

Haru jednak nie czekał na moją opinię.

– Księżyc jest geologicznie martwy, więc ślady po astronautach pozostaną tam na zawsze. Nie zmyje ich deszcz, bo tam nie ma atmosfery. Nie rozwieje ich wiatr, bo nie istnieją tam prądy powietrzne. Nie pochłonie ich czas, bo na Księżycu nic nie eroduje.

Mówił z takim entuzjazmem, jakby osobiście przeprowadził badania nad stabilnością księżycowego pyłu. Czulem, jak jego słowa zderzają się z moją poranną sennością, odbijając się od niej bez śladu.

– Fascynujące, Haru – mruknąłem, licząc, że w ten sposób oszczędzę sobie dalszego wykładu. – Powiedz mi, czy odrobiłeś pracę domową.

– Tak – rzucił szybko, jakby chciał mieć to za sobą, po czym natychmiast wrócił do tematu: – Ale pomyśl tylko! Każdy ślad na Księżycu trwa niemal wiecznie. Stopy astronautów,

odciski łazików, porzucone narzędzia – to wszystko tam jest, nieruchome, zamrożone w czasie.

Pokiwalem głową, wiedząc, że moje zdawkowe odpowiedzi na nic się nie zdadzą. Haru, gdy już złapał trop, nie wypuszczał go łatwo.

– Czyli Księżyc to taka kapsuła czasu? – rzuciłem, próbując sprawiać wrażenie, że rzeczywiście mnie to interesuje.

Haru aż się rozpromienił.

– Dokładnie! Wyobraź sobie: miliony lat od teraz, kiedy ludzkość może wyglądać zupełnie inaczej albo nawet wcale już jej nie będzie... Kiedy pojawi się ktoś inny, obca cywilizacja albo nasi potomkowie, którzy zapomnieli, że kiedyś istnieliśmy. I oni zobaczą te ślady: odciski butów, porzucone moduły, szczątki po misjach. Zatrzymają się nad nimi i pomyślą: „Kim oni byli?”

Westchnąłem i oparłem się o krzesło, patrząc w sufit. Było coś niepokojącego w tym, jak swobodnie Haru mówił o końcu ludzkości, jakby był to tylko kolejny temat do dyskusji.

– Albo nie pomyślą nic, bo Ziemia i Księżyc dawno przestaną istnieć i nikogo nie będzie obchodzić, co się na nich niegdyś znajdowało.

Haru zmarszczył brwi.

– Pesymista.

– Realista.

Przez chwilę było cicho, ale wiedziałem, że nie zamierza na tym poprzestać.

– Pomyśl tylko – podjął na nowo, jakby właśnie wpadł na kolejny genialny wniosek. – Tutaj wystarczy kilka lat, żeby wszystko, co zostawimy, zostało zatarte przez pogodę, czas, ludzi. Ale tam? Tam można zostawić coś i mieć pewność, że pozostanie to na zawsze.

– Tylko że nikogo tam nie ma, żeby to oglądać.

– To bez znaczenia. – Pokręcił głową. – Nie chodzi o to, żeby ktoś to widział. Chodzi o to, że to jest.

Zamilkłem na chwilę. Może Haru miał rację. Może rzeczywiście trwałość czegoś nie zależy od tego, czy ktoś to widzi.

– Czyli gdybyś mógł, to poleciałbyś na Księżyc tylko po to, żeby zostawić tam swój odcisk?

Haru uśmiechnął się szeroko.

– Gdybym mógł, zostawiłbym tam całą wiadomość. Coś, co przetrwałoby dłużej niż ktokolwiek z nas.

– Co byś napisał?

Haru zamyślił się na chwilę, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo dzwonek przerwał jego myśli. Do sali wszedł nasz nauczyciel matematyki, kładąc na biurku plik materiałów.

– Dzień dobry – zaczął bez zbędnych wstępów. – Dziś zajmujemy się ostatnim działem przed końcem roku, czyli graniastosłupami.

Nie miałem nic przeciwko graniastosłupom, ale nie mogłem też powiedzieć, że budziły we mnie jakiegokolwiek emocje. Siedziałem więc, wpatrując się w tablicę, podczas gdy w mojej głowie wciąż pobrzmiwały słowa Haru o księżycowych śladach i czasie, który przestaje mieć znaczenie.

Przymknąłem oczy na kilka sekund i pozwoliłem sobie na myśl, że lekcja już się skończyła. Że rok szkolny dobiegł końca. Że przede mną rozciągał się błogi, niekończący się czas wakacji.

Lato oznaczało całe dni spędzone z dziadkiem na czytaniu książek, oglądaniu filmów i parzeniu herbaty – trzech naszych najbardziej ulubionych czynnościach na świecie. W wakacje nie musiałem martwić się o oceny, o przyszłość, która napierała na mnie jak fala, ani o myśli o śmierci, które czasem pojawiały się bez zaproszenia.

– Przeszkadzam ci w czymś, Yudaiu? – Doniosły głos nauczyciela wdarł się do mojej idyllicznej wizji, rozrywając ją na strzępy.

Otworzyłem oczy.

- Pomyślałbym, że twoje oceny powinny cię motywować do większego skupienia na lekcji.

- Przepraszam – odparłem szybko. – Zamyśliłem się.

- Moje lekcje to nie czas na bujanie w obłokach, młodzieńcze – syknął, jakby moja nieuwaga była osobistą znie wagą wymierzoną w geometrię.

Westchnąłem w duchu, wiedząc, że dalsza dyskusja okazałaby się stratą energii.

- Tak jest, proszę pana – powiedziałem z odpowiednią dozą skruchy w głosie, chociaż wewnętrznie byłem zupełnie obojętny.

Nauczyciel przyjrzał mi się badawczo, jakby oceniając, czy okazałem dostateczną pokorę, po czym wzruszył ramionami i wrócił do rysowania na tablicy kolejnego graniastosłupa.

Próbowałem skupić się na jego słowach, ale już po chwili moje myśli zaczęły dryfować, tym razem powracając do *Papriki*.

Co gdyby cała rzeczywistość była graniastosłupem? Czy dałoby się obliczyć jej objętość? Co oznaczałaby ta liczba? Czy byłaby to suma wszystkich rzeczywistości, które istnieją jednocześnie – tej, w której siedzę w dusznej klasie, i tej, która rozgrywa się tylko w mojej głowie?

Otworzyłem zeszyt i zacząłem rysować coś w rogu strony, udając, że robię notatki. Zamiast równania wyszła mi mała postać uwieczona w ogromnym graniastosłupie, z wyciągniętymi rękami, jakby próbowała dotknąć ścian.

Patrzyłem na nią chwilę, po czym westchnąłem. To byłem ja. Ja na tej lekcji.

Rysowanie stanowiło jedną z niewielu rzeczy, które naprawdę lubiłem robić. Od dziecka czułem, że tylko wtedy potrafię naprawdę coś powiedzieć – bez słów, bez tłumaczenia się z czegokolwiek. Kiedy inni grali w piłkę albo chodzili na karaoke, ja siedziałem z ołówkiem i szkicowałem wszystko,

co miałem przed oczami: liście, ptaki, twarze ludzi, którzy nawet nie wiedzieli, że ich obserwuję.

Z czasem coraz częściej rysowałem rzeczy z głowy – to, co czułem albo o czym myślałem. Nie potrafiłem tego dobrze nazwać, więc po prostu to szkicowałem.

Teraz jednak, w szkolnej ławce, z matematycznym równaniem na tablicy, wydawało się to czymś zupełnie niepotrzebnym. System skutecznie wybijał mi z głowy, że można tworzyć dla samego tworzenia. Że coś, czego nie da się policzyć, też może mieć wartość.

Wiedziałem o tym wszystkim, ale mimo to gdy tylko brałem ołówek do ręki, przypominałem sobie, że to wciąż jedna z niewielu rzeczy, których nikt nie może mi odebrać.

Zanim zdążyłem przewrócić stronę, Haru zerknął ukradkiem na moją kartkę i się wyszczerzył.

– Piękna metafora systemu edukacji – szepnęła konspiracyjnie.

Nie powstrzymałem się przed cichym parsknięciem.

– Co tam mamroczesz, Haru? – Nauczyciel spojrział na niego podejrzliwie.

Haru podniósł wzrok z absolutnie niewinną miną.

– Że graniastosłupy są fascynujące, panie profesorze.

W klasie rozległo się ciche chichotanie.

Nauczyciel przewrócił oczami i uznał, że lepiej to zignorować.

Dzwonek zadźwięczał, choć przez moment nie byłem pewien, czy to rzeczywiście się wydarzyło, czy tylko sobie to wyobraziłem. Odetchnąłem ostrożnie, jak człowiek, który właśnie uświadomił sobie, że przez dłuższy czas zapomniał oddychać.

Reszta dnia minęła w typowy sposób: kilka nudnych lekcji, których treść umknęła mi równie szybko, jak się pojawiła, przerwy spędzone na rozmowach o wszystkim i o niczym. Potem ostatni dzwonek – sygnał, że mogę w końcu

opuścić budynek szkoły i wrócić do świata, w którym czas płynął inaczej.

– Masz ochotę wybrać się ze mną do Komorebi? – zapytał mnie Haru, mając na myśli kawiarnię, do której często chodziliśmy po zajęciach. – Naszła mnie ochota na herbatę jaśminową.

– Czemu nie? – odpowiedziałem, po czym zarzuciłem plecak na ramię.

Wyszliśmy na zewnątrz, wprost w ciepłe popołudniowe powietrze. Skręciliśmy w boczną uliczkę, gdzie chodnik pokrywały plamy cienia rzucane przez rzędy drzew. Liście kołysały się lekko na wietrze. Powietrze pachniało wilgotnym betonem i resztkami ciepła, które asfalt zdążył nagromadzić przez cały dzień. Haru szedł wolnym krokiem, lekko przygarbiony, jakby nie do końca jeszcze wybudził się z letargu szkolnej monotonii.

– Widziałeś dzisiaj Aiko? – zagadnął, przerywając ciszę. Spojrzałem na niego z lekkim zdziwieniem.

– Aiko? Nie, a co?

– Miała nowe kolczyki. Takie małe srebrne gwiazdki. Pasały jej – powiedział tonem, który brzmiał niemal obojętnie, ale znałem go na tyle dobrze, by zauważyć, że nie było w tym przypadku.

– Nie wiedziałem, że zwracasz uwagę na takie rzeczy.

Haru parsknął.

– To nie tak, że jakoś specjalnie zwracam, ale wiesz... zauważyłem.

– Jasne, jasne. – Uśmiechnąłem się pod nosem. – W takim razie może powinieneś jej to powiedzieć?

– Nie bądź śmieszny. – Machnął ręką. – Poza tym co by to zmieniło?

– Może zaczęłyby się zastanawiać, czy Haru nie jest przypadkiem bardziej spostrzegawczy, niż myślała.

Przewrócił oczami, ale nie zaprzeczył.

– A ty? – zmienił temat. – Nadal nic z tą dziewczyną z biblioteki?

Westchnąłem ciężko.

– Po pierwsze to nie „ta dziewczyna z biblioteki”, tylko Rina. Po drugie... nie.

– Bo?

– Bo co ja niby mam jej powiedzieć? „Hej, widuję cię tu codziennie, wygląda na to, że oboje lubimy te same książki, może powinniśmy się umówić”?

– Brzmi całkiem dobrze. – Wzruszył ramionami.

– Brzmi jak tekst gościa, który nie ma pojęcia, co robi.

Haru zaśmiał się cicho.

W końcu dotarliśmy do Komorebi. Była to mała, skromna kawiarnia, wciśnięta między dwa większe budynki, jakby skrywała się celowo, czekając tylko na tych, którzy wiedzą, gdzie patrzeć.

Drewniany sztyl z wyblakłym napisem ledwo dało się odczytać pod pnączami, które porastały framugi i dach. Z wnętrza dobiegał cichy stuk filiżanek i dźwięk gramofonu, który grał kawalek w stylu jazzu z lat sześćdziesiątych.

Powietrze w środku pachniało słodką herbatą i starym drewnem. Ściany z ciemnego cedru ozdobione były suszonymi kwiatami i szkicami klientów – w ramkach i bez. Za ladą stała starsza kobieta w czarnym fartuchu, która знаła imiona częstych bywalców i ich zamówienia na pamięć.

Usiedliśmy przy stoliku pod ścianą, tuż obok starego regału z książkami. Na blacie ktoś zostawił otwarty tomik poezji i kubek po hojichy.

Haru sięgnął po menu, ale zamiast rzeczywiście je czytać, obracał je w dłoniach, jakby to była zagadka do rozwiązania.

– Odbiegając od tematu dziewczyn – masz już jakieś plany na wakacje? – zapytał.

– Nic szczególnego – odparłem. – Pewnie spędzę większość czasu, oglądając filmy z dziadkiem. Mamy sporo do nadrobienia przez to, że muszę chodzić do szkoły.

Haru pokiwał głową, jakby w pełni rozumiał moje rozgoryczenie faktem, że szkoła zabiera mi czas na rzeczy, które faktycznie chciałem robić.

– Brzmi jak solidny plan. – Uśmiechnął się lekko.

– A ty?

Spojrzał przez okno na przechodzących ludzi.

– Jeszcze nie wiem. Może gdzieś wyjadę. Może zostanę tutaj. Może zacznę pisać książkę.

– O czym?

Wzruszył ramionami.

– O chłopaku, który spędził całe wakacje, próbując zebrać się na odwagę, żeby zagadać do dziewczyny z biblioteki, ale ostatecznie skończył na picu herbaty ze swoim ulubionym i jedynym kumplem.

Parsknąłem śmiechem.

– Brzmi dziwnie znajomo.

– Prawda? – Haru uśmiechnął się, opierając brodę na dłoni.

Nagle w mojej kieszeni rozległ się dźwięk telefonu. Spodziewałem się zobaczyć na ekranie numer dziadka, ale zamiast tego wyświetliło się obce połączenie. Zmarszczyłem brwi i odebrałem.

– Yudai Takahashi? – odezwał się głos po drugiej stronie, poważny, ale jednocześnie uprzejmy.

– Tak, to ja.

– Z tej strony starszy posterunkowy Satō. Pana dziadek, pan... – nastąpiła chwila przerwy, jakby rozmówca sprawdził nazwisko na kartce – Jiro Takahashi, jest w tej chwili w parku w centrum. Został zauważony przez nasz patrol, ponieważ wyglądał na zdezorientowanego. Nie wiedział, jak

trafić do domu. Ma ustawiony pana numer jako kontakt alarmowy. Czy mógłby pan po niego przyjechać?

Zamarłem.

– Co? – wyrwało mi się, zanim zdążyłem się zastanowić.

To musiała być jakaś pomyłka. Mój dziadek, który znał to miasto lepiej niż ktokolwiek, nagle nie wiedział, jak wrócić do domu?

– Czy... czy wszystko z nim w porządku? – zapytałem, nagle czując ścisk w żołądku.

– Fizycznie nic mu nie dolega. Był zdenerwowany, ale teraz siedzi z drugim funkcjonariuszem na ławce. Lepiej, żeby zobaczył znajomą twarz.

– Rozumiem. Już tam jadę.

Rozłączyłem się i natychmiast spojrzałem na Haru.

– Coś się stało? – zapytał, widząc moje przerażenie.

– Jeszcze nie wiem. Znalaziono mojego dziadka w parku i... – Przełknąłem ślinę, czując, jak moje myśli zaczynają się splecać w coś, czego nie chciałem nazywać. – Nie wiedział, jak wrócić do domu.

Haru uniósł brwi.

– Co? Przecież...

– Wiem. – Wstałem tak gwałtownie, że niemal przewróciłem krzesło. – Przepraszam, Haru, muszę iść.

– Poczekaj, idę z tobą.

– Nie, poradzę sobie.

Nie czekając na dalsze pytania, chwyciłem plecak i wybiegłem z kawiarni. W mojej głowie wciąż odbijały się echem słowa policjanta.

Mój dziadek zawsze był tym, który znał miasto lepiej niż ja. To on prowadził mnie na skróty, znał boczne uliczki, orientował się, gdzie kawa jest najlepsza i który sklepik otwiera się najwcześniej. To niemożliwe, żeby nagle nie wiedział, jak wrócić do domu – szczególnie że park, o którym mowa, był ledwo dwie uliczki od naszego domu.

Może się przewrócił i uderzył w głowę? Może to tylko zmęczenie? Może...

Wdech.

Wydech.

Nie panikuj, Yudai.

Kiedy wbiegłem do parku, rozejrzałem się nerwowo. Było już późne popołudnie. Światło zachodzącego słońca kładło długie cienie na ścieżkach. Ludzie siedzieli na ławkach, dzieci dokazywały na placu zabaw. Gdzieś w oddali ktoś wyprowadzał psa. Wszystko wyglądało zwyczajnie.

Aż do momentu, gdy go zobaczyłem.

Dziadek siedział na ławce, zgarbiony, z dłońmi splecionymi na kolanach. Obok niego siedział młody funkcjonariusz, który mówił coś spokojnym tonem, ale dziadek patrzył w dal, jakby słowa nie do końca do niego docierały. Drugi funkcjonariusz rozglądał się dookoła.

Podbiegłem do nich.

- Dziadku! - zawołałem.

W pierwszej chwili zobaczyłem na jego twarzy ulgę. Ale tuż za nią było coś innego. Coś, czego nie chciałem widzieć.

Niepewność.

- Yudai... - powiedział cicho, jakby sprawdzając, czy na pewno jestem prawdziwy.

- Co się stało? - zapytałem, patrząc na niego uważnie.

Dziadek zmarszczył brwi, jakby sam próbował poskładać odpowiedź.

- Wyszedłem na spacer... i... pomyliłem drogę.

Zamrugalem.

- Zapomniałeś?

Dziadek pokiwał twierdząco głową.

Chciałem coś powiedzieć, ale moje gardło było ściśnięte.

- Czy on często miewa takie epizody? - zapytał funkcjonariusz, wyrывая mnie z zamyślenia.

- Nie... nie. - Pokręciłem głową. - To pierwszy raz.

Dziadek spuścił wzrok, jakby wstydział się tego, co się wydarzyło.

- Dziękuję, że się nim pan zaopiekował - powiedziałem do pierwszego funkcjonariusza, starając się, by mój głos brzmiał normalnie.

- Nie ma problemu. Ważne, że wszystko skończyło się dobrze.

Po chwili wymieniliśmy jeszcze kilka słów, po czym funkcjonariusze pożegnali nas i odeszli.

Zostaliśmy sami.

Dziadek milczał, wpatrując się w ziemię.

- Chodźmy do domu - powiedziałem w końcu, kładąc mu dłoń na ramieniu.



## Rozdział 3

### Zębatka, która się przesunęła



Minął tydzień od epizodu dziadka i od tamtego dnia nie rozmawialiśmy o tym ani razu. Nie dlatego, że zapomnieliśmy. Wydaje mi się, że obaj doszliśmy do wniosku, że lepiej zostawić to w spokoju, jak książkę odłożoną na półkę z zamiarem przeczytania jej później – choć dobrze wiedziałem, że to „później” może nigdy nie nadejść.

Dziadek zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Nadal budził się wcześnie, parzył herbatę i czytał gazety, jakby ich nagłówki były cegiełkami, które budowały jego rzeczywistość. Wieczorami oglądaliśmy filmy – czasem stare klasyki, czasem coś zupełnie przypadkowego, co akurat leciało w telewizji.

Nie pytałem o tamten wieczór. Nie wiedziałem nawet, jakie pytanie powinienem zadać. „Jak się czujesz?” – wydawało się zbyt powierzchowne, „Czy boisz się, że to się powtórzy?” – brzmiałoby jak oskarżenie.

Jednak nawet jeśli nie mówiliśmy o tym na głos, coś się zmieniło. Były momenty, kiedy dziadek wpatrywał się w przestrzeń dłużej niż zwykle, jakby próbował uchwycić

coś ulotnego. Ja natomiast czułem, że nie wszystko wróciło do normy, choć obaj usilnie udawaliśmy, że tak właśnie jest.

– Chcesz herbaty? – zapytał pewnego poranka, jakby to było najważniejsze pytanie na świecie.

– Jasne – odpowiedziałem, choć nie byłem pewien, czy to herbaty rzeczywiście mi potrzeba.

Siedziałem przy stole, przeglądając zeszyt, w którym teoretycznie powinienem był robić notatki z lekcji. W praktyce większość stron była wypełniona moimi rysunkami. Dziadek właśnie nalewał herbatę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Obaj spojrzeliśmy na siebie.

– Kto to może być? – mruknął dziadek, odstawiając dzbanek.

Nieczęsto mieliśmy gości. Jeśli ktoś już się pojawiał, zazwyczaj był to sąsiad, który potrzebował pomocy w czymś trywialnym, jak skrzypiące zawiasy czy wymiana żarówki.

Dziadek otworzył drzwi i zobaczył listonosza – starszego, nieco zmęczonego mężczyznę w zbyt dużej kurtce.

– Panie Takahashi – powiedział, wyciągając plik papierów – mam dla pana kilka listów.

Dziadek podziękował za przesyłki i położył koperty na stole. Zmarszczyłem brwi, patrząc na nadawców, i zacząłem je otwierać po kolei. Z każdym listem mój niepokój rósł.

– To wezwania do zapłaty. Mamy zaległe rachunki.

– Rachunki? – zdziwił się dziadek. – Przecież wszystko opłaciłem...

– Zaległości są za ostatnie trzy miesiące. Energia elektryczna, gaz, woda. To ponowne wezwania, bo na poprzednie nie było odpowiedzi.

Zrobiło się nagle dziwnie cicho.

– To jakaś pomyłka – powiedział dziadek powoli, wyglądał na zdezorientowanego.

Patrzyłem na niego uważnie. Był człowiekiem, który miał swoje rytuały, nigdy nie zapominał o codziennych obowiązkach.

kach. Trudno byłoby mi uwierzyć, że zapomniał kupić herbatę, a co dopiero, że zapomniał o rachunkach przez trzy miesiące. To do niego nie pasowało.

– Sprawdzę to – powiedział w końcu, odbierając ode mnie koperty. – Przecież... przecież pamiętam, że to robiłem.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Zaczął przeglądać listy, jakby w ich treści mogła kryć się jakaś odpowiedź, która wszystko wyjaśni. Ale one mówiły tylko jedno – od trzech miesięcy rachunki nie były płacone.

Poczułem w brzuchu nieprzyjemny ciężar.

– Może po prostu... gdzieś ci to umknęło – powiedziałem ostrożnie.

Dziadek nie odpowiedział, zamiast tego usiadł ciężko przy stole i spojrzał na koperty, jakby były czymś obcym.

Zaczynałem mieć wrażenie, że coś w naszym uporządkowanym świecie zaczyna się powoli przesuwać – i nie miałem pojęcia, czy to tylko drobne przesunięcie, czy początek czegoś znacznie większego.

Dziadek siedział przy stole, obracając w dłoniach koperty, jakby próbował przypomnieć sobie, gdzie popełnił błąd. Ostatni raz, gdy widziałem go w takim stanie – nie rozdrażnionego czy zdenerwowanego, ale po prostu... zdezorientowanego – to był moment, gdy zgubił się w parku.

– Sprawdzę jeszcze raz – powiedział w końcu bardziej do siebie niż do mnie.

Czułem, że powinienem coś powiedzieć, coś zrobić, ale co? Nie chciałem dodawać mu zmartwień, jednak nie potrafiłem pozbyć się dziwnego niepokoju, który osiadł mi na piersi jak ciężki kamień.

– Może to tylko zwykła pomyłka – rzuciłem, choć nawet dla mnie brzmiało to niezbyt przekonująco.

Dziadek skinął głową w zamyśleniu.

Zegar na ścianie tykał miarowo, gdy nagle przypomniałem sobie, że miałem spotkać się z Haru. Zawahałem się przez

chwilę. Nie chciałem wychodzić. Albo może chciałem, ale czułem się z tym źle.

- Dziadku... - odezwałem się cicho. - Umówiłem się z Haru, że pójdziemy razem po nowe koszule na zakończenie roku.

Dziadek uniósł wzrok znad kopert i spróbował się uśmiechnąć.

- Jasne, idź.

- Na pewno wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedział zbyt szybko.

Skinąłem głową i wstałem niechętnie.

- Kupię ci coś słodkiego po drodze, dobra?

Tym razem uśmiechnął się szczerze.

- Nie obrażę się za kawałek sernika.

Ruszyłem w stronę drzwi, czując jego wzrok na plecach.

- Wrócę niedługo - rzuciłem przez ramię.

- Będę czekał.

To ostatnie zdanie zawisło w powietrzu trochę dłużej, niż powinno. Zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem w stronę sklepu wśród złotego południa i gorącego powietrza.



Haru czekał już przy wejściu do sklepu, opierając się o słup reklamowy. Miał na sobie stary, wytarty T-shirt i dżin-sy. W rękach trzymał plastikowy kubek po jakimś mrożonym napoju, z którego został już tylko lód.

- Spóźniłeś się - oznajmił.

- Pięć minut.

- Pięć minut w tym upale to wieczność.

- Nie przesadzaj.

Haru uśmiechnął się pod nosem i popchnął drzwi do sklepu.

W środku było przyjemnie chłodno, klimatyzacja szumiała cicho, a w tle leciała jakaś przytłumiona muzyka.

– Wiedziałeś, że Rina całe wakacje spędzi w Hiszpanii? – zagadnął mnie Haru, przyglądając się rzędom wieszaków z ubraniami.

Spojrzałem na niego lekko zdezorientowany, jakbym potrzebował chwili, żeby zrozumieć, o czym mówi.

– Hiszpania? – powtórzyłem.

– Tak. Barcelona, potem jakieś mniejsze miasteczko nad morzem. Chyba ma tam rodzinę.

– Skąd to wiesz?

– Przypadkiem usłyszałem, jak mówiła o tym w bibliotece – odparł, po czym, widząc moje spojrzenie, dodał: – No dobra, może nie do końca przypadkiem.

Zmrużyłem oczy

– Haru...

– Co? Nie podsłuchiwałem! Po prostu siedziałem obok i akurat rozmawiała o tym ze znajomymi. Nie moja wina, że mam dobry słuch.

Przewróciłem oczami i ruszyłem w stronę kolejnego rzędu wieszaków, czując jego spojrzenie na sobie.

– I co? – zagadnął, podążając za mną.

– Co: i co?

– Nic cię to nie obchodzi?

– Czemu miałoby mnie obchodzić?

– Nie wiem... Może dlatego, że potajemnie do niej wzdychasz?

– To twoja teoria.

– A ty jej nie zaprzeczasz.

Westchnąłem ciężko.

– To, że oboje czytamy podobne książki, jeszcze nic nie znaczy.

– Ale może by coś znaczyło, gdybyś w końcu do niej zagadał.

– No cóż, problem rozwiązał się sam, skoro przez całe lato będzie na drugim końcu świata.

Haru zmarszczył brwi, jakby rzeczywiście przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Wiesz, jeśli spojrzeć na to inaczej, masz dwa miesiące na wymyślenie, co jej powiedzieć, kiedy wróci.

– A co jeśli wróci z gorącym Hiszpanem? Nie będę mieć z nim szans.

Uniósł brwi i spojrział na mnie z udawaną powagą.

– Jeśli zaczynasz zakładać własną porażkę dwa miesiące przed startem, to rzeczywiście nie masz szans.

Pokiwał głową i poszedł do przymierzalni. Ja również zacząłem przeglądać wieszaki, próbując na chwilę skupić się na czymś tak przyziemnym jak wybór odpowiedniej koszuli, choć w rzeczywistości moje myśli wciąż krążyły wokół dziadka i tych nieszczęsnych rachunków.

Trzy miesiące.

Jak można zapomnieć o czymś tak podstawowym? Może to rzeczywiście tylko pomyłka. Może zwyczajnie przeoczył termin, odłożył kopertę w niewłaściwe miejsce, pomyślał, że już zapłacił.

Ale mimo tych racjonalnych wyjaśnień nie mogłem pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak.

Dziadek był człowiekiem rutyny. Każdego ranka parzył herbatę w tym samym czajniku, zawsze w tej samej kolejności: najpierw podgrzanie wody, potem liście, potem czekanie dokładnie trzy minuty. Nigdy krócej, nigdy dłużej. Jego umysł działał jak mechanizm zegara, dopóki... no właśnie.

– Co sądzisz o tej? – Haru wyszedł z przymierzalni, mając na sobie jasnoróżową koszulę.

– Może być – odparłem, bo wprawdzie wybrana przez niego koszula nie była ani zbyt ładna, ani zbyt brzydka, ale na pewno nie nadawała się do szkolnego mundurka. A on pewnie kombinował już, czy nada się na podryw.

Haru spojrział na swoje odbicie w lustrze, uniósł rękę, jakby próbował ocenić ją z każdej strony.

– Może być? To najbardziej beznamiętna opinia, jaką można wyrazić.

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem po prostu szczery.

Minęło dziesięć minut, podczas których Haru przymierzył kolejne pięć koszul i w końcu zdecydował się na najzwyczajszą białą.

– Klasyka nigdy nie zawodzi – skomentował swój wybór tak, jakby na ceremonię zakończenia roku szkolnego była w ogóle dopuszczalna inna opcja niż biała, biała i... biała.

Obaj zapłaciliśmy za koszule i wyszliśmy ze sklepu na ciepłe popołudniowe powietrze.

– Masz tak czasem... jakbyś o czymś zapomniał, ale nie jesteś pewien o czym?

Haru zmarszczył brwi.

– Zdarza się. Na przykład zawsze, gdy próbuję sobie przypomnieć, gdzie podziałem słuchawki.

– Nie chodzi mi o takie rzeczy. Bardziej... wiesz, coś większego.

Haru spojrzał na mnie uważnie, po czym podrapał się po brodzie.

– Chodzi o twojego dziadka?

Zaskoczyło mnie, że zapytał tak bezpośrednio.

– Nie wiem – odpowiedziałem po chwili. – Ostatnio coś przegapił. Nie płacił rachunków przez trzy miesiące.

– Mój ojciec ciągle zapomina, gdzie zaparkował rower, choć jest dużo młodszy od twojego dziadka.

– Tak, ale mój dziadek nie zapomina – rzuciłem, po czym się poprawiłem: – Nie zapominał.

Milczeliśmy chwilę, idąc w kierunku cukierni. Haru miał ochotę na ciastko, ja obiecałem dziadkowi, że kupię mu kawalek sernika.

- Nie zadręczaj się tym - powiedział, gdy stanęliśmy w krótkiej kolejce prowadzącej do środka. - Jestem pewien, że to nic poważnego.

- Dzięki - odparłem.

Po kupieniu sernika pożegnałem się z Haru i ruszyłem w stronę domu. Słońce zaczynało już powoli opadać za horyzont. Ciepłe pomarańczowe światło kładło długie cienie na chodniku. Powietrze pachniało letnim wieczorem - rozgrzanym betonem, kurzem i czymś, co przypominało dym z dalekiego grilla.

Kiedy dotarłem pod dom, od razu poczułem, że coś jest nie tak.

Zazwyczaj, gdy wracałem, w oknie paliło się światło. Zwykle z wnętrza dochodził cichy dźwięk telewizora lub bulgot wody w czajniku. Tym razem było ciemno.

Zmarszczyłem brwi i sięgnąłem do kieszeni po klucz.

- Dziadku? - rzuciłem po wejściu do środka, ale nie było odpowiedzi.

W salonie panowała cisza. Na stole leżały koperty - dokładnie tam, gdzie je zostawiliśmy. Poza tym nie było śladów żadnej aktywności. Czajnik stał samotnie na kuchennym blacie, zimny i pusty, jakby nikt nie planował z niego dziś korzystać.

Przeszedłem przez korytarz do jego pokoju. Łóżko było idealnie pościelone, nieporuszone, jakby od rana nikt się do niego nie zbliżył.

W żołądku poczułem znajomy twardy ciężar. Nie ten od głodu, ale od nagłego niepokoju, który rozlewa się po ciele powoli, jak herbata po cienkiej porcelanie.

Spojrzałem w stronę wieszaka. Czapka, którą zawsze wkładał na wieczorne spacer, zniknęła.

Na zewnątrz wciąż było ciepło, ale mnie przeszedł dreszcz.

- Yudai - usłyszałem nagle głos dziadka dochodzący zza moich pleców - czemu wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha?

- Ja... nieważne - odparłem, po czym wewnątrz odechnąłem z ulgą. - Gdzie byłeś?

Czułem, że napięcie powoli odpływa, jak woda cofająca się po nagłej fali, ale nie całkowicie. Coś we mnie wciąż pozostawało spięte.

- Wyszedłem na chwilę do ogródka. Przestraszyłem cię? - Dziadek zmrużył oczy, przyglądając mi się uważnie.

- Po prostu było ciemno. Nie sądziłem, że jesteś na zewnątrz.

- Poszedłem przewietrzyć głowę. - Przesunął dłonią po karku, jakby chciał odgonić myśli, które tam zalegały. - Po tym, co się dzisiaj stało... - Jego wzrok na ułamek sekundy spoczął na kopertach leżących na stole. - Zastanawiałem się, jak to możliwe, że zapomniałem o tych rachunkach - dodał cicho.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Może po prostu... umknęło ci to.

Dziadek uniósł brew.

- Od trzydziestu lat płacę rachunki w ten sam sposób, w tych samych dniach. Nigdy nie zapomniałem. - Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na mnie, jakby próbował wyczytać coś z mojej twarzy. - Myślisz, że zaczynam mieć problemy z pamięcią?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Nie chodziło o samą treść, ale o ton, jakim je wypowiedział. Było w nim coś niecodziennego - jak gdyby po raz pierwszy dopuszczał do siebie tę możliwość.

- Może to tylko jedno potknięcie - rzuciłem bez zastanowienia.

Dziadek skinął głową, jakby przyjął moją odpowiedź do wiadomości, ale niekoniecznie ją zaakceptował. Przez chwilę milczał, potem powoli odwrócił wzrok i spojrzał w okno.

- Boję się, że coś we mnie się przesuwają - powiedział cicho. - Jak w zegarze, w którym jedna zębatka zaczyna

chodzić trochę za wolno. Niby wszystko jeszcze działa, ale już nie tak jak kiedyś.

Zacisnąłem palce na krawędzi blatu.

- Każdemu zdarza się o czymś zapomnieć - powtórzyłem. - Tata Haru wciąż zapomina, gdzie zaparkował rower.

- Może. - Dziadek wzruszył ramionami. - Jednak w moim wieku można się zastanawiać, czy to jeszcze normalne, czy sygnał większych problemów.

Nie chciałem słyszeć tych słów.

Nie chciałem nawet rozważać tej możliwości.

- To tylko stres - powiedziałem, nie wiedząc, czy bardziej chcę przekonać siebie, czy jego.

Dziadek uśmiechnął się lekko.

- Może.

Znowu zapadła cisza.

Dziadek przeciągnął się lekko, jakby próbował rozprostować nie tylko ciało, ale i myśli.

- Może obejrzymy dziś coś lekkiego? - zaproponował. - Może *Pod słońcem Toskanii*? Albo tę starą komedię z lemoniadą i jazdą przez pustynię...

- *Mala miss*? - podsunąłem.

- Właśnie. *Mala miss*. - Uśmiechnął się szerzej, jakby na dźwięk tego tytułu coś w nim odetchnęło z ulgą. - Lubię ten film.

- Dobrze. Niech będzie *Mala miss*. Przygotuję popcorn.

Dziadek kiwnął głową z aprobatą i ruszył w stronę salonu. Ja skierowałem się do kuchni. Wsypałem ziarna do miski, po czym wrzuciłem ją do mikrofal. Po kilku minutach dźwięk pykającego popcornu zmieszał się z pierwszymi nutami muzyki z filmu. Usiadłem na kanapie, przykryłem się kocem i wreszcie pozwoliłem sobie na chwilę oddechu.

Jutro będzie nowy dzień. Dziś - przynajmniej przez te dwie godziny - wszystko było tak jak zawsze.